

Agnieszka Kołakowska: Polityczna poprawność a mentalność totalitarna

Polityczna poprawność, podobnie jak stara totalitarna mentalność, dostarcza wygodnych, uprzednio przyrzadzonych, upieczonych już opinii, które - podobnie, jak w starej - obejmują prawie wszystko

Polityczna poprawność, podobnie jak stara totalitarna mentalność, dostarcza wygodnych, uprzednio przyrzadzonych, upieczonych już opinii, które - podobnie, jak w starej - obejmują prawie wszystko

Sporo można zwalić na Rousseau. Winą można też obarczyć francuskich utopistów, w szczególności Saint-Simona i Comte'a; ideę powszechnych praw człowieka (których najnowszym zatrutym owocem jest konstytucja europejska); i, rzecz jasna, Oświecenie - zawsze występujące w roli głównego podejrzanego, gdy jest mowa o źródłach totalitaryzmu (i wielu innych plag). Wielu mniema, że tam właśnie się one znajdują. Jednak nowa totalitarna mentalność, mentalność politycznej poprawności, więcej zawdzięcza Rousseau, i być może francuskim utopistom, niż duchowi Oświecenia. Nie odznacza się wiarą w Rozum ani w potęgę wiedzy; jest dogłębnie antyracjonalistyczna, wroga nauce, niechętna wobec badań empirycznych. Owszem, występują w niej pewne cechy oświeceniowe lub "gnostyczne" (związane z tym, co Eric Voegelin, a także Alain Besançon, w swych *Les origines intellectuelles du léninisme*, określili mianem gnostycyzmu):

uniwersalizm, utopijne wizje, wiara w człowieka - ale tylko do pewnego stopnia, i tylko w człowieka ideologicznie poprawnego - i przekonanie, że świat można zmienić, oczyścić ze zła i stworzyć świat nowy, doskonały. Ale racjonalizmu już nie ma. W tej nowej totalitarnej mentalności występują też cechy, których wcześniej nie było, lub które na pierwszy rzut oka zdają się różne od poprzednich. Rdzeń jest jednak ten sam i wyrasta z tych samych korzeni.

Trafnie ujął to Benjamin Constant w swoich *Principes de politique*. Po Rousseau i jego "absurdalnej i pełnej elokwencji teorii", według której społeczeństwo może sprawować nieograniczoną władzę nad jednostką, przez długi czas wierzono, iż "aby lud był wszystkim, jednostka musi być niczym"(ks.XVII, r.1) - z czego wynika, zauważył Constant, że "wolność jest niczym innym, jak nową formą despotyzmu." Constant zauważył też, że rządzący, lub ci, co władzę sobie uzurpują, "mogą posługiwać się słowem 'wolność', by swoje nadużycia usprawiedliwić, ponieważ jest ono, niestety, nieskończenie usłużne." (ibid.) Ci, co przejęli władzę podczas Rewolucji Francuskiej, osiągnęli to przez "ukrywanie prawdziwych interesów, które nimi kierowały, i przywłaszczanie sobie bezinteresownych na pozór zasad i opinii, które posłużyły im za sztandar." (ks.I, r.3) Idea Rousseau - która zdaniem Constanta wyrosła z pomieszania zasady władzy z zasadą wolności - jest odpowiedzialna "za większość przeszkód, z jakimi ustanawianie wolności się spotykało (...), za gros nadużyć, jakie wkradają się do wszelkich rządów (...) i za większość zbrodni, jakie następują po społecznych konfliktach i politycznych wstrząsach." (ibid.)

Ulegam pokusie zacytowania Constanta nie tylko dlatego, że warto go odkurzyć, i nie tylko dla odmiany - żeby nie cytować wiecznie Tocqueville'a - lecz także dlatego, że przestrzega on nie tyle przed

tyranią większości, co przed tyranią, która bezprawnie przywłaszcza sobie imię większości i wykorzystuje demokratyczną retorykę dla własnych celów; przed tyranią, która nie tylko ludzi uciska, lecz głosi, iż są wolni, zmusza ich, by to przyznawali i utrzymuje, że jej działania wyrażają ich wolę. Wszystko to wydaje się nam niepokojąco znajome. I niepokojące jest nie dlatego, że jest znajome z czasów Związku Sowieckiego, lecz dlatego, że dostrzegamy to samo we współczesnej Europie. Pokusie zacytowania Constanta trudno mi się oprzeć także przez to, że znaczną częścią winy obarcza Rousseau. Nie twierdzę, że "pełna elokwencji i absurdalna" teoria Rousseau jest źródłem wszelkiego zła, a w szczególności totalitaryzmu, który miał różne źródła. Jednak Rousseau był pośrednim źródłem inspiracji i dla utopijnych elementów myśli totalitarnej, i dla politycznie poprawnej myśli pokolenia lat 1960., z których wywodzi się wiele aspektów współczesnej totalitarnej mentalności. Wiele jest tu wspólnych korzeni, i jednym z nich jest teoria Rousseau.

Minęło piętnaście lat od upadku muru berlińskiego. Jeśli jako istotne cechy totalitaryzmu - wszystkie konieczne, choć być może żadna z nich nie jest sama w sobie wystarczająca - przyjmujemy zasadę jak największej kontroli państwa nad każdym aspektem życia, publicznego i prywatnego, nieograniczoną władzę państwa i wszechogarniającą ideologię, to wydaje się, iż jedynym prawdziwie totalitarnym państwem we współczesnym świecie jest teraz Korea Północna. (Jest rzeczą dyskusyjną, czy islamskie teokracje lub środkowowschodnie dyktatury, jak Irak pod panowaniem Saddama Husajna, można słusznie nazwać państwami totalitarnymi. Można chyba znaleźć argumenty, by tak twierdzić.) Wydawać by się mogło, że teraz niewiele zostało już do powiedzenia. Trudno rzeczywiście w nowy sposób opisać sam ustrój totalitarny i jego historyczne źródła, i nie mam tu niczego oryginalnego do dodania. Niestety jednak sporo zostało do powiedzenia o ciągle

istniejącej pokusie totalitarnej: o zdumiewającym rozkwicie totalitarnej mentalności na Zachodzie. Tam bowiem totalitarna mentalność, zamiast zanikać, jak spodziewaliśmy się po upadku komunizmu w Związku Sowieckim i we Wschodniej Europie, zdaje się, przeciwnie, rozpowszechniać i utrwałać. W czasach sowieckiego imperium jej wpływy były ograniczone do kręgów lewicowych intelektualistów i hipisów. Paradoksalnie, po obaleniu komunistycznych reżimów wpływy te się rozszerzyły i pogłębiły: prócz zachodnich intelektualistów, zawsze podatnych na totalitarne idee, i środowisk akademickich, gdzie mentalność ta zawsze się pleniła (i gdzie znajduje wyraz nie tylko w osobistych poglądach politycznych i społecznych, lecz także na uczelni, w najróżniejszych dziedzinach humanistycznych), jej macki spętały wielką liczbę wykształconych ludzi, a co ważniejsze, politycznych przywódców, którzy jakby wessali ją z otoczenia przez rodzaj osmozy.

Obalenie komunizmu okazało się dla intelektualistów wyzwoleniem. Wielu z nich szybko zapomniało, że w ogóle było coś takiego, jak komunizm; z ulgą usunęli go ze świadomości i radośnie powrócili do swoich marksistowskich przekonań, rozkoszując się znów miłym poczuciem moralnej wyższości. Imperium sowieckie się zawaliło, komunizm upadł, komunistyczna ideologia się skompromitowała - a jednak na każdym kroku napotykaamy apologie komunizmu i kazania na temat zła, jakie niesie ze sobą kapitalizm i "dziki", "niepohamowany" liberalizm ekonomiczny. Co więcej, w każdej sferze życia i na każdym poziomie - nie tylko w dominujących postawach lecz także, w sposób coraz bardziej jaskrawy, w polityce rządów państw europejskich, a w szczególności Unii Europejskiej - widać tryumf ducha dogłębnie antyliberalnego, który mianem liberalnego się określa. Widać też niektóre z tendencji, jakimi odznaczały się dwudziestowieczne reżimy totalitarne: wprowadzanie w życie polityki opartej na ideologii,

prowadzącej do skutków odwrotnych od rzekomo zamierzonych, przy jednoczesnym wzmocnieniu państwowego interwencjonizmu i rozrastającej się biurokracji. Jest jedna istotna różnica: nowa totalitarna mentalność jest głęboko antynaukowa; nie głosi nawet wiary w naukę lub w wiedzę. Opiera się na obskurantyzmie i na ignorancji; lansuje ją i pławi się w niej; pragnie "postępu" bez nauki.

"*Imagine all the people*" - głosi tekst koszmarnej piosenki. Tak właśnie zrobił Rousseau; tak robili wszyscy polityczni myśliciele o orientacji kontraktualistycznej. Robiły tak "dzieci-kwiaty" w latach sześćdziesiątych; i zawsze było to ulubionym zajęciem intelektualistów. A teraz, jak się wydaje, stało się to ulubionym zajęciem rządów państw europejskich. Ta utopijna wizja, infantylna i niszczycielska, jest kluczowa dla totalitarnej mentalności. To ona leży u źródeł największych zbrodni dwudziestego wieku; to ona jest odpowiedzialna, pośrednio lub bezpośrednio, za erozję demokratycznych swobód na Zachodzie, i być może w końcu będzie też odpowiedzialna za ostateczną utratę naszej wolności. Wyrażenie "*the people*" - to połączenie rodzajnika określonego ze słowem "ludzie", dające "lud" - jest jednym z najbardziej złowrogich wyrażen w języku angielskim. Gdy tylko ktoś mówi o "ludzie", należy zachować ostrożność. W ciągu ostatnich kilku lat niektórzy europejscy politycy zaczęli wypowiadać się o "ludzie" w taki sposób, że ciarki przechodzą po plecach. Wprawdzie w wyrażeniu "*all the people*" nie chodzi o lud, lecz o "wszystkich ludzi" (i ich - jak się później okazuje - braterstwo, co już samo w sobie wystarczy, by wywołać ciarki); ale określony rodzajnik traci tu tylko część swej złowrogiej mocy. Cały ten zwrot, ta mieszanka idei "wszystkich ludzi" z ideą braterstwa i z obecną jednak w tym rodzajniku ideą ludu, a przynajmniej jakiejś zwartej całości - sugestia, której nie ma w normalnym słowie "wszyscy" - wzbudza niepokój.

Sama idea "ludu" jest głęboko i wymownie antyliberalna. A wyobrażanie sobie "wszystkich ludzi" na raz zakłada ujmowanie ich jako całości, a więc z konieczności myślenie o nich w sposób abstrakcyjny, co samo już pociąga ze sobą pewne ideologiczne konsekwencje. Zaś wyobrażanie sobie wszystkich ludzi na raz żyjących w braterstwie, w utopijnym świecie tej piosenki, jest perspektywą koszmarną. A jednak wizja ta zdaje się być powszechnie uznawanym przedmiotem dążeń XXI wieku, szczególnie, gdy idzie o przyszłą, "nową Europę".

Wśród charakterystycznych cech reżimów totalitarnych można jeszcze wymienić, poza wszechogarniającą ideologią i próbą poddania każdej sfery życia państwowej kontroli, kilka innych. Do najbardziej istotnych należały: manipulacja języka, fałszowanie historii, odmowa traktowania ludzi jako istoty racjonalne i odpowiedzialne za swoje czyny, i wprowadzanie w życie polityki w imię ideologicznych zasad bez względu na to, że jej skutki były całkowicie przeciwne do rzekomo zamierzonych. Jednocześnie towarzyszyły temu przynajmniej pozory wiary w wiedzę, wykształcenie i naukę; były to przecież ważne hasła marksizmu-leninizmu.

Wszystkie te cechy, z wyjątkiem ostatniej, są również charakterystyczne dla współczesnej totalitarnej, politycznie poprawnej mentalności. I właśnie nieobecność ostatniej z tych cech, w połączeniu ze wspomnianym podporządkowaniem programów politycznych ideologii, nadaje tej mentalności szczególny rys. Jej cechą wyróżniającą jest niechęć do racjonalnej argumentacji czy analizy, lekceważenie faktów, które nie odpowiadają politycznie poprawnym teoriom i całkowity brak zainteresowania skutkami, jakie mogą z zastosowania

tych teorii wyniknąć. Współcześni zwolennicy panaceów i utopijnych rozwiązań problemów tego świata nie widzą potrzeby konfrontowania swoich przekonań z faktami, z dostępną wiedzą, z wynikami nauki ani z doświadczeniem, ponieważ uważają, że mają rację z definicji: uznają się za moralnie wyższych, bo hołdują utopijnym ideałom - z czego z kolei wnioskuje, że racja musi być po ich stronie. Tych zaś, którzy w to wątpią, uważają za uosobienie zła. Cechuje ich bolszewickie poczucie wyższości moralnej.

Liberalne sumienie chełpi się, że jest wyjątkowo wrażliwe na ludzkie nieszczęścia. To przekonanie o unikalnej wrażliwości liberalnego sumienia z kolei wzmacnia wśród poprawnie politycznych liberałów skłonność do ignorowania niepożądanych - i nieliberalnych - skutków propagowanej przez nich polityki. Ich rozwiązania problemów świata muszą być słuszne mimo, iż przeczą im nauka i doświadczenie - tak samo, jak marksizm-leninizm musiał być uznawany za słuszny przez wiernych tej ideologii. Z tym - trzeba to podkreślić - że polityczni liberałowie nie twierdzą, że ich teorie są "naukowe". Naukę można zignorować. (Nie jest to bez związku - skoro polityczna poprawność, jak mentalność totalitarna w ogóle, jest ideologią wszechobejmującą - ze skrajnymi odmianami politycznej poprawności w środowiskach akademickich i z niektórymi atakami na naukę ze strony bardziej radykalnych postmodernistów i feministek.)

Jednym z przykładów tego antyempirycznego, antyracjonalnego i antynaukowego podejścia jest kwestia "globalizacji". "Globalizacja", tak jak "kapitalizm", jest "słowem-straszakiem", sloganem łączącym poprawnie politycznych wszystkich krajów przeciwko niej. Globalizacja, podobnie jak kapitalizm, nie jest ani ideologią, ani złowrogim spiskiem bogatych przeciwko biednym; nie jest nawet

ludzkim wynalazkiem. Jest naturalnym procesem. Potępia się ją jednak jako ideologię, "system", który - powtarza się to bezustannie - "zwiększa nierówności" i gnębi biednych; jako złowieszczy plan narzucony przez szatańskie imperium w celu uzyskania kontroli nad Trzecim Światem i wyzyskiwania żyjących w nim ludzi pracy. Twierdzi się tak bez względu na liczne dowody, że globalizacja ułatwia osiągnięcie tych właśnie celów, do jakich rzekomo dążą jej przeciwnicy, a więc eliminację nędzy, demokratyzację i rozwój Trzeciego Świata. Nasuwa to przypuszczenie, że deklarowane cele przeciwników tego procesu nie są ich rzeczywistymi celami; przynajmniej z całą pewnością można stwierdzić, że podstawy ich poglądów mają niewiele wspólnego z danymi empirycznymi. Wielu z nich wykazuje skłonność do pomijania pewnych istotnych faktów. Na przykład, w żadnym z argumentów krytykujących globalizację za to, iż prowadzi do nierówności, nie spotkałam się nigdy ze wzmianką o prostym fakcie, iż to wolność dążenia do dobrobytu prowadzi do nierówności. Nierówności pojawiają się, gdy ludziom wolno zdobywać i pomnażać pieniądze. Dzieje się tak na przykład w Trzecim Świecie, gdy ludzie biedni mogą, pracując dla (złowrogich i wyzyskujących ich) międzynarodowych korporacji, zarabiać stawki, które - choć mizerne w porównaniu z zachodnimi - o niebo przewyższają to, co mogliby oni zarobić w inny sposób. Przeciwnicy "systemu" wolnorynkowego i globalizacji najwyraźniej chcieliby pozbawić mieszkańców Trzeciego Świata tych możliwości: lepiej bowiem, żeby pozostali biedni, ale równi, niż żeby powstawały nierówności dzięki bogaceniu się tylko niektórych. Zakłada się widocznie, iż brak równości jest sam w sobie czymś gorszym od biedy. Przeciwnicy globalizacji zakładają też, wbrew wszelkim dowodom, że muszą mieć rację ponieważ są szlachetniejsi - altruistyczni i hojni, "troszczący się" o biednych i uczestniczący w moralnej walce przeciwko (złym z definicji) międzynarodowym korporacjom; nie dlatego, że ich hasła mają jakikolwiek związek z rzeczywistością. Organizowane przez

nich polowania na czarownice przeciwko tym, którzy odważają się kwestionować przyjętą linię działania, przypominają Stalinowskie kampanie przeciwko wrogom postępu i prawicowym odchyleńcom.

Kolejnym przykładem jest modne hasło "zrównoważonego rozwoju", które w praktyce oznacza coś zupełnie przeciwnego. (Zrozumienie go wymaga zapewne szkolenia w marksistowskiej dialektyce.) "Zrównoważony rozwój" to w istocie protekcjonizm, utrzymywanie barier handlowych zamiast ich znoszenia, utrzymywanie subsydiów zamiast ich zmniejszania, uzależnianie ludzi od jałmużny, pozbawianie ich odpowiedzialności i możliwości samodzielnego wydobycia się z biedy - co by istotnie było rozwojem "zrównoważonym" - i wsparcie dla skorumpowanych i niekompetentnych rządów. Ale to też jest czymś, czego nie wolno kwestionować.

Częstym podkładem tego wszystkiego jest żywołowa niechęć do rynku - uczucie żywione przez wielu liberałów, wszystkich antyglobalistów i zwolenników starych i nowych totalitarnych utopii. Niechęć ta wiąże się z kolei z odmową przyznania co najmniej trzech elementarnych prawd o człowieku: że własna korzyść jest jednym z naturalnych i niedających się wykorzeńić motywów ludzkiego działania; że działanie dla własnej korzyści jest działaniem racjonalnym; i że dążenie do osiągnięcia osobistej korzyści raczej wspiera, niż pomniejsza dobro powszechne i ogólny rozwój. Prawdy te nie są jedynie sprawą teorii ekonomicznej: mają zakorzenienie w doświadczeniu i w obserwacji (a także w grach o sumie niezerowej typu "dylemat więźnia", które ukazują ogólne korzyści płynące z działań ukierunkowanych na racjonalną korzyść własną). Procesy rynkowe wpajają poczucie odpowiedzialności, uczą dotrzymywania obietnic oraz honorowania umów (ponieważ leży to w ich interesie; ale końcowy efekt leży w

interesie każdego) i otwierają przed wszystkimi, zarówno bogatymi, jak biednymi, te same możliwości. Wolny rynek w państwach ubogich wspiera rozwój i wzrost dobrobytu, a także samą demokrację. Jednak liberalne i politycznie poprawne myślenie, podobnie jak dawne myślenie totalitarne, cechuje przekonanie, że skoro procesami rynkowymi kieruje wzgląd na korzyść własną i chciwość, a obie te rzeczy (na ogół utożsamiane) uważane są za zło, to same te procesy muszą być złe. Twierdzi się przy tym, wbrew doświadczeniu, iż pogłębiają one nierówności, zamykają możliwości, są źródłem ucisku i wyzysku biednych przez bogatych. I skoro procesy rynkowe są złem, nie mogą prowadzić do niczego dobrego; muszą zatem być poddane ograniczeniom i państwowej regulacji, podobnie jak ludzka skłonność do zabiegania o własną korzyść.

Aksjomatem jest dla tej mentalności założenie, że świat dzieli się na panujących i podporządkowanych, prześladowców i prześladowanych; a zatem że, skoro brak naturalnych sposobów zniesienia tych podziałów, gdyż są nieodłącznym elementem naszego świata, trzeba je likwidować siłą. Mentalność ta zakłada też, że ludzie biedni nie umieją działać racjonalnie dla własnej korzyści, ani wziąć za siebie odpowiedzialności, i że nie można tego od nich wymagać; trzeba ich traktować jako bezradnych, a wszelkie przeszkody, jakie stoją na drodze do polepszenia ich bytu - jako nieprzezwyciężalne bez pomocy państwa. Nie można zatem przyjąć, że otwarcie dla nich rynków i zapewnienie im możliwości swobodnego zabiegania o własne interesy byłoby dla nich korzystne (zwłaszcza, że pozbawiłoby to pracy antyglobalistów, zwolenników pomocy dla Trzeciego Świata i wielu pracowników organizacji pozarządowych. Nie mówiąc już o tym, że kłóciłoby się z interesami zwolenników protekcjonizmu - bo tak naprawdę o obronę partykularnych interesów tu chodzi, niezależnie od marksistowsko-leninowskich wyobrażeń o rynku i naturze człowieka). Pogarda, jaka się

za tym kryje, i związana z nią skłonność do infantylizacji ludzi i pozbawiania ich odpowiedzialności, są charakterystyczne zarówno dla starej jak i dla współczesnej mentalności totalitarnej. Charakterystyczne jest też przekonanie, że jedynym prawdziwym autorytetem jest państwo, i że ono powinno prawnie regulować wszystkie sfery życia, zarówno prywatną jak i publiczną.

Inne wspólne dla starej i współczesnej mentalności totalitarnej przekonanie, związane z potępieniem rynków i kapitalizmu jako zła, to przekonanie, że dobrobyt j e s t grą o sumie zerowej: że bogaci wzbogacają się kosztem biednych, i że gdyby tylko udało się ich skłonić (lub zmusić) do oddania części majątku, los biednych by się poprawił. Logika redystrybucji, zrodzona z ideologii i zawiści, zawsze leżała w sercu mętnego myślenia lewicy; teraz stała się również, wbrew zdrowemu rozsądkowi i doświadczeniu, milczącym założeniem polityki europejskich przywódców, zarówno lewicy, jak centroprawicy. I kwestionowanie tej logiki stało się tematem tabu.

Niektóre z cech nowej totalitarnej mentalności, które na pierwszy rzut oka wcześniej nie występowały, mają jednak te same źródła. Jedną z nich jest pojęcie tożsamości grupowej: przekonanie, że określa nas w sposób podstawowy przynależność do jakiejś grupy - seksualnej, społecznej, religijnej lub etnicznej. Doprowadziło to do "ugettowania" pewnych grup etnicznych w imię ich wolności i godności. Pogląd, iż to, co robimy i to, kim jesteśmy, zależy od naszej płci, rasy, orientacji seksualnej lub przynależności do danej grupy etnicznej, jest nie tylko absurdalny i wyjątkowo obraźliwy, lecz nadto niszczy tę właśnie wizję społecznej harmonii i wspólnego dobra, która rzekomo leży u podstaw ideologii politycznej poprawności. Zamiast jednoczyć, dzieli i segreguje; wytwarza ogromną liczbę sprzecznych i wrogich

indywidualnych interesów i poszerza przepaść między nimi, zamiast ją niwelować. Zawalają się wtedy podstawy tego "różnorodnego" i "wielokulturowego" społeczeństwa, które jest rzekomym celem, ponieważ znika wszelka płaszczyzna wzajemnego porozumienia, a wraz z nią możliwość osiągnięcia głoszonych ideałów otwartości i tolerancji. Pozostają wyłącznie poszczególne grupy interesu z ich niekończącą się listą "uprawnień". Podobne są skutki założenia, o którym była już mowa - założenia, wspólnego starej i nowej mentalności totalitarnej, że świat dzieli się na "prześladowanych" (różne mniejszości) i prześladowców.

Okazuje się - co z łatwością i bez zaskoczenia stwierdzamy - że i tu, jak w przypadku antyglobalistów, znaczącą rolę odgrywają partykularne interesy. Jest to szczególnie widoczne na uniwersytetach, gdzie narzucanie politycznej poprawności i postmodernistycznej teorii oraz tworzenie nowych dyscyplin podkopujących racjonalne myślenie i akademickie wartości w imię wielokulturowości, feminizmu i wolności, owocuje pozycją naukową, władzą i statusem. Osiąga się to dokładnie tak, jak to opisał Constant, mówiąc o rewolucjonistach francuskich: przez "ukrywanie prawdziwych motywacji, które nimi kierowały, i przywłaszczanie sobie bezinteresownych na pozór zasad i opinii, które posłużyły im za sztandar." Zakusy władzy są tak samo silne, odgrywają tę samą rolę, w nowej totalitarnej mentalności, co w starej.

Podział świata na dwie klasy - prześladowców i prześladowanych - nie jest czymś nowym; jest nam dobrze znany, tylko klasy nieco się zmieniły. Polityka oparta na tożsamości grupowej także nie wzięła się znikąd: ma źródło w wizji "wszystkich ludzi" jako abstrakcji, którą następnie dzielimy na segmenty o ściśle określonych rolach, zaopatrzone w różne etykiety. Jednostki są do tych ról sprowadzane i definiowane przez nie. Każdy członek jakiegóż "mniejszości" jest co do

swej istoty zdefiniowany jako taki. W "starym" totalitaryzmie było dokładnie to samo, zmieniła się tylko podstawa tożsamości: klasę zastąpiła rasa lub płeć. Robotników, chłopów, kułaków i burżuazję zastąpiły kobiety, czarni i homoseksualiści.

Jest pewna ironia w tym, że u podstaw ideału Rousseau leżała wizja wręcz przeciwna: wizja autonomii jednostki, odmowa jej determinacji przez klasę lub rasę. Celem było właśnie obalenie (nieliberalnej) koncepcji tożsamości grupowej. A jednak koncepcja ta zakorzeniła się w mentalności wielu spośród tych, dla których utopijna wizja Rousseau była źródłem inspiracji. Może nie należy się tym zbyt dziwić: fakt, że koncepcja tożsamości grupowej, choć w trochę innej formie, była znaczącą częścią starej mentalności totalitarnej, podsuwa podejrzenie, iż ta wizja utopii nieuchronnie ulega takiemu zniekształceniu.

Skojarzenia, jakie nasuwa nowy podział na klasy i nowa koncepcja tożsamości zbiorowej, nie ograniczają się do komunistycznego wariantu totalitaryzmu. Dotyczą także faszyzmu: przypominają nazistowskie poglądy na rasę. Z obiema wariantami totalitaryzmu kojarzy się też charakterystyczne dla politycznej poprawności umiłowanie teorii spiskowych oraz "nowy" antysemityzm, wyrażający się w przekonaniu, że Izrael odpowiedzialny jest za całe zło tego świata, i że wszystko byłoby w porządku - nie byłoby terroryzmu (zrodzonego, według tego poglądu, wyłącznie z biedy, ucisku i niesprawiedliwości), amerykańskiego imperializmu ani chciwości Zachodu - gdyby tylko Żydom odebrać władzę, jaką mają nad światem.

Tę samą mentalność, i ten sam "nowy" antysemityzm, widać u tych, którzy posługują się modnym już od dawna hasłem "antyrasizmu". To w imię "antyrasizmu" obrońcy dążeń Palestyńczyków wznoszą okrzyki "śmierć Żydom", trzymając transparenty głoszące "Sprawiedliwość" i "Pokój". Także w imię antyrasizmu pozbawia się czasem przedstawiciele pewnych grup etnicznych możliwości wykształcenia. Uważa się za niestosowne uczenie imigrantów, a szczególnie ich dzieci, języka (nie mówiąc już o wartościach i o kulturze) kraju, w którym mieszkają, ponieważ byłoby to gwałceniem ich godności i negacją ich tożsamości. Ale tylko pewne grupy etniczne tak się traktuje: nie dotyczy to, na przykład, Finów, Litwinów czy Greków. A zatem jest to nie antyrasizm, lecz po prostu rasizm: pogarda dla pewnych grup etnicznych. Podobna pogarda kryje się za hasłem "antyelitaryzmu", za pomocą którego piętnuje się szkoły, które osiągają dobre wyniki dzięki dyscyplinie, utrzymaniu autorytetu nauczycieli i tradycyjnym metodom kształcenia.

Ograniczanie swobód i możliwości w imię wolności, równości i "uprawnień", też jest czymś, co dobrze znamy ze starej, totalitarnej mentalności. Mnożące się "uprawnienia", jakie polityczna poprawność wymusza, w końcu naruszają najbardziej podstawową zasadę: równości wobec prawa. A zatem raz jeszcze skutki okazały się odwrotne od rzekomo zamierzonych.

Jaskrawa jest manipulacja językiem, jaka się przy tym wszystkim odbywa. To też jest znaną cechą starego totalitaryzmu, lecz dziś coraz częściej występuje wśród europejskich przywódców politycznych, z których wielu wydaje się nie tyle kłamać, co raczej ujawnić zupełny brak kontaktu z rzeczywistością. Ich wypowiedzi, coraz bardziej przypominające Orwellowską nowomowę, nie służą informowaniu, lecz

mistyfikacji i zwodzeniu. Słuchając ich, nie spodziewamy się już, że powiedzą coś istotnego: wypływa z nich czysta retoryka, nie poruszająca żadnych problemów, będąca jedynie reklamą mówiącego. Słowa i wyrażenia, jakimi się posługują, czerpią wprost z piosenek dzieci-kwiatów, uzupełniając je hasłami takimi, jak "dostęp", "wykluczenie" i "włączenie" (używane zazwyczaj w celu wspierania określonych grup w ramach inżynierii społecznej, głównie na uniwersytetach, i posiadające dowolne znaczenie,), "tolerancja" (oznaczająca nietolerancję i przywileje dla pewnych grup) i "wielokulturowość" albo "różnorodność" (które oznaczają potępienie zachodniej kultury i wspieranie innych). "Uprawnienia" wyparły sprawiedliwość, równość szans i równość wobec prawa. Wszechobecne jest też hasło "demokracji", prawie zupełnie już pozbawione znaczenia i powszechnie myłone z prawami człowieka, z prawami obywatelskimi lub z rządami prawa; najczęściej jest używane w znaczeniu indywidualnych "uprawnień" i niczego więcej, a szczególnie uprawnień jednostek należących do określonych "mniejszości". Moim ulubionym wyrażeniem jest "podnoszenie poziomu", które - jak "zrównoważony rozwój" - znaczy coś wręcz przeciwnego, niż głosi: podnoszenie poziomu *zawsze* oznacza jego obniżenie, zwłaszcza w edukacji. Jaskrawe kłamstwa są wygłaszane bez najmniejszego wstydu, z pogardą dla inteligencji wyborców. Wiemy przecież, że dzisiejsze młode pokolenie nie jest o 100% mądrzejsze, niż młode pokolenie 30 lat temu; ale mamy wierzyć, że ogromny wzrost dobrych ocen na egzaminach świadczy o tym, iż poziom niebywale wprost się podniósł. Wciąż słyszymy, że stajemy się coraz bardziej wolni, podczas gdy nasze swobody są stopniowo ograniczane. Upadek komunizmu nie umniejszył znacząco okazji dostrzeżenia, jak nieskończenie usłużne jest słowo "wolność", jak można manipulować retoryką demokracji, i jak elastyczne jest znaczenie niektórych innych słów, których sens wydawał nam się jasny, takich jak: "prawda", "równość", "sprawiedliwość" i "zło". (Kilka lat temu obserwowałam konferencję o

złem. Prawie wszyscy jej uczestnicy utożsamiali zło z biedą w Trzecim Świecie, globalizacją, wielkimi korporacjami, globalnym ociepleniem i zanieczyszczeniem środowiska. Większość też uważała, że wszystko to są skutki imperialistycznego ucisku i bezwzględnej chciwości kapitalistycznego Zachodu, a w szczególności Stanów Zjednoczonych; i że zło po prostu zniknie, jeśli tylko uda nam się te dolegliwości wyleczyć.)

Prócz manipulacji językiem widzimy też manipulację historii i skłonność do fałszowania jej, też dobrze nam znaną z komunistycznego i nazistowskiego totalitaryzmu. Widać ją w niechęci, z jaką politycznie poprawna lewica przyznaje istnienie pewnych niewygodnych aspektów sowieckiego komunizmu, i w tabu, które zabrania równoczesnego omawiania ich wraz z zbrodniami hitlerowskimi, nie mówiąc o już o ich porównywaniu. Hitlerowskie okrucieństwa wolno zestawiać jedynie ze zbrodniami izraelskimi lub amerykańskimi - i czyni się to, istotnie, coraz częściej. To jednak nic nowego; na lewicy zawsze tak było. Antyzachodnia propaganda, według której należy potępić zachodnią cywilizację w imię "wielokulturowości", "anty-rasizmu", itp., też nie jest już taką nowością; od wielu lat obserwujemy ją w szkołach i na uniwersytetach, europejskich i amerykańskich. Nowością jest natomiast negacja całej judeochrześcijańskiej przeszłości Europy, jej kultury i historii; tudzież fakt, że negacja ta stała się (po części wskutek nacisków ze strony wzrastającej populacji muzułmańskiej, zwłaszcza w Anglii i we Francji) częścią polityki rządów. Prezydent Chirac oznajmił niedawno, że Europa i jej wartości są w równej mierze (a może nawet bardziej) zakorzenione w kulturze islamu, jak w kulturze judeochrześcijańskiej. Wypowiedź ta - jeśli zakładamy, wspaniałomyślnie, że nie postradał on jeszcze wszystkich zmysłów - była prawdopodobnie w dużym stopniu podyktowana tchórzostwem. Podobnie można by tłumaczyć ogłuszającą ciszę na temat

judeochrześcijańskiego dziedzictwa Europy w ostatnim projekcie preambuły Europejskiej Konstytucji. Tendencja jest jednak wyraźna: celowe manipulowanie historią. I wszystko wskazuje na to, że twórcy nowej Europy i jej konstytucji kierują się nie tylko strachem, lecz także ideologią, w której na historię i tradycję nie ma miejsca. Chcą oni naprawę "nowej" Europy, stworzenia nowego świata, zbudowanego na nowoczesnych, postępowych fundamentach, nieskrępowanych więzami historii. To również jest ideą znaną z komunistycznej utopii.

Wszystkie te aspekty politycznej poprawności - manipulacja języka, fałszowanie czy wręcz odrzucenie historii, cyniczne pozory troski o interesy mniejszości kosztem demokracji, pogarda, ograniczanie swobód w imię wolności, podporządkowanie polityki mętnym zasadom ideologicznym - pojawiają się w konstytucji Unii Europejskiej. Jest to tekst spektakularnie bełkotliwy i niespójny. Jego język jest celowo mętny, a sformułowane w nim cele są - o ile można je w ogóle zrozumieć - wzajemnie sprzeczne. Artykuł 3. o "celach Unii", na przykład, oświadcza z całą powagą, że celem Unii jest "zrównoważony rozwój" Europy na podstawie "społecznej gospodarki rynkowej" o "wysokiej konkurencyjności", zmierzającej do "pełnego zatrudnienia" i "postępu społecznego." Jest to po prostu bełkot. Już samo wyrażenie "zrównoważony rozwój" jest niejasne. Czym jest "społeczna gospodarka rynkowa" - nikt nie wie, nawet ci, co popierali umieszczenie tego sformułowania w tekście. Nie wiedzą tego pewnie nawet sami twórcy tego tajemniczego zwrotu. Nawet, gdyby to mętne i - jak podejrzewam - sprzeczne wewnętrznie pojęcie miało jakieś zastosowanie w rzeczywistości, to na pewno nie da się pogodzić z "wysoką konkurencyjnością" - która z kolei nie da się pogodzić z gwarancją "pełnego zatrudnienia". Co więcej, gospodarka z definicji do niczego nie "zmierza". Być może potrafi to robić "społeczna gospodarka rynkowa", ale - skoro nikt nie wie, czym jest - trudno to stwierdzić. "Postęp

społeczny" ma pewnie znaczyć z grubsza to samo, co "sprawiedliwość społeczna", i też, tak jak ona, pozwala na dowolne interpretacje - choć wolno sądzić, że dużą rolę będzie w niej odgrywać redystrybucja. Proponowany projekt konstytucji europejskiej pragnie też "wysokiego poziomu ochrony środowiska", ale jednocześnie chce wspierać "postęp naukowo-techniczny." Innymi słowy, konstytucja europejska "wyobraża sobie wszystkich ludzi", wymyśla sobie, jacy mają być i w jaki sposób mogliby stworzyć idealny świat, po czym wszystkie te wyobrażenia spisuje. Skoro konstytucja ogromnie poszerza unijne uprawnienia ustawodawcze we wszystkich sferach, od polityki zagranicznej do społecznej i gospodarczej, i skoro decyzje Unii, zastępujące decyzje parlamentów narodowych, będą wiążące, ta mętność, bełkotliwość i niespójność są groźne: sprawią bowiem, że Unia Europejska będzie mogła narzucić swoim członkom co tylko zechce i kiedy zechce. Wiemy zaś, iż jej zachcianki mogą przybierać skalę wręcz olimpijską.

Zaskakującą różnicą między starą a nową totalitarną mentalnością jest sukces tej nowej: niewiarygodna ilość ludzi okazała się podatna na pranie mózgu, uwierzyła w ideologię i obłudę. Polityczna poprawność, podobnie jak stara totalitarna mentalność, dostarcza wygodnych, uprzednio przyrzędzonych, upieczonych już opinii, które - podobnie, jak w starej - obejmują prawie wszystko. Na tym polega wygoda: gotowa utopia, którą wystarczy podgrzać i podać na talerzu z dodatkiem płytkich, atrakcyjnych haseł: demokracja, tolerancja, pokój, różnorodność. Hasła też znamy; tylko "różnorodność" jest stosunkowo nowa. Ale zamąciło to normalnym ludziom w mózgach o wiele skuteczniej niż stara, komunistyczna indoktrynacja. I nie tylko normalnym ludziom: także rządcom. Mamy teraz rządy, które mówiąc o "ludzie", dostosowują prawo do interesów grup nacisku. Teraz wyręczy ich w tym Unia Europejska. Czy umiejętność rządzenia pójdzie w

zapomnienie? Czy zapomnimy, czym jest niezawisłość osoby lub państwa i do czego służy? Czy zbliżamy się do utopii Saint-Simona, w której władza zostaje zastąpiona "administracją rzeczy"... i ludzi?

Agnieszka Kołakowska

Tekst z 2004 r.